

## „Język konspiracyjny”. Fragment wywiadu z Ryszardem Kisielem

**Karol Radziszewski**

**Karol Radziszewski: W naszej rozmowie używamy na zmianę określeń „gej”, „homoseksualista”. Czy mógłbyś opowiedzieć jakiego słownictwa używaliście między sobą, a jakiego wobec innych? Różne warianty słów i określeń, gdybyś mógł zrobić taki przegląd.**

Ryszard Kisiel: Szkoda, że nie zapisywałem sobie takich określeń żargonowych z tego języka ówczesnych gejów. On się też zresztą zmieniał na przestrzeni lat osiemdziesiątych. Nie istniało jeszcze wtedy słowo „gej”. Nikt z nas o tym nie myślał, nie słyszał. Pomimo że zostało wymyślone w latach siedemdziesiątych w Stanach Zjednoczonych, to do Polski bardzo późno dotarło. Raczej się określało kogoś tak bardzo konspiracyjnie „koleżanka”, na przykład że „to też koleżanka”. Nie mówiło się też „hetero” – tylko „on nie taki”. Albo przeciwnie: „on taki”, albo „on taki jak nasz”. To był taki specyficzny język konspiracyjny.

**KR: Ale „koleżanka” mówiliście o kimś ze swojego środowiska, czy każdy homoseksualista to była „koleżanka”?**

RK: Myślę, że środowisko unikało słowa „homoseksualny” jako zdradzający ten język konspiracyjny. Więc „koleżanka” albo „on nie taki”, albo „ciota”, które funkcjonowało jednak bardziej jako obraźliwe, pejoratywne. Choć to zależało od osoby, niektórzy zamieniali te słowa.

„Cioty” mówiło się głównie na osoby, które zachowywały się ostentacyjnie w miejscach publicznych. „Nie chcemy mieć z nimi nic wspólnego”. Chcemy się zabezpieczyć czy ukryć w tej konspiracji. Natomiast nie pamiętam, żeby w naszym środowisku jedna koleżanka przezwiała drugą „pedałem”. Unikano słów, których używali inni, ci hetero wobec nas. To było chyba podświadome unikanie ujemnych odczuć psychicznych.

**KR: A pseudonimy? Zazwyczaj były to formy żeńskie?**

RK: Tak, w tym języku powstawały pseudonimy, oczywiście kobiece imiona dominowały. Przypadkiem raczej były pseudonimy odnoszące się do czyjegoś zawodu czy wieku. Pamiętam, że taki mój znajomy gej późno zaczął studia i znalazł się na roku jako najstarszy i studenci przezywali go „dziadek”. I w naszym środowisku też to się przyjęło. Trochę nieadekwatnie, ale został mu taki męski przydomek.

**KR: A ty miałeś pseudonim?**

RK: Tak, sam sobie wybrałem po spektaklu Marty Stebnickiej, która śpiewała piosenkę Yvette Guilbert o transwestycie „Madame Arthur”. Po koncercie mój przyjaciel powiedział, to ty będziesz Yvette, i tak już zostało.

**KR: Przypominasz sobie coś jeszcze?**

RK: Pamiętam, że moi dalsi znajomi używali takich spolszczonych określeń z języka greckiego albo marynarskiego slangu. Ale, niestety, nie pamiętam tych słów, bo sam ich nie używałem. Pamiętam natomiast, że dzisiejsze określenie „robić laskę” pojawiło się dopiero pod koniec lat dziewięćdziesiątych. W latach siedemdziesiątych, osiemdziesiątych mówiło się „robić minetę”, „ciągnąć druta”, „mineciarz”, „druciarz” albo na pasywa „dupodajka”. To chyba wszystko.

Wywiad powstał w ramach projektu „Cruising the 1970s: Unearthing Pre-HIV/AIDS Queer Sexual Cultures” (CRUSEV) finansowanego ze środków HERA Joint Research Programme 3 „Uses of the Past” przy współfinansowaniu ze strony AHRC, BMBF via DLR-PT, MINECO, NCN oraz Komisji Europejskiej w ramach programu Horizon 2020.